

„Uwaga! Uwaga! Pociąg dalekobieżny z Przemyśla do Szczecina Głównego przez Legnicę, Zieloną Górę, Czerwieńsk, Rzepin jest opóźniony o czterdzieści dwie minuty. Opóźnienie pociągu może się zwiększyć lub zmniejszyć”.

Takie komunikaty słyszałem za studenckich czasów na wrocławskim dworcu głównym, gdy jeździłem do domu na święta i ferie. Tak było zawsze, a niewiadomą była tylko wielkość opóźnienia i czy ono się zwiększy, czy zmniejszy. W praktyce nigdy się nie zmniejszało. Którejś zimy mój pociąg miał aż trzystu-minutowe spóźnienie i tamtego też dnia ustanowiłem własny rekord głupoty - przesiedziałem całe trzysta minut na dworcu. Mogłem spokojnie pojechać do akademika, trochę pospać i potem wrócić. Mogłem, ale tak nie zrobiłem, bo wykombinowałem sobie, że opóźnienie nagle może się zmniejszyć np. do pięćdziesięciu minut i pociąg mi ucieknie. Tak mi się jakoś mózg zlasował. (Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego wielkości opóźnień podawano w minutach. Mówiono „trzysta minut” zamiast po ludzku „pięć godzin”).

Cóż mogłem robić, czekając na pociąg? Włóczyłem się po dworcu i obserwowałem ludzi, których zawsze było tam pełno.

Niektórzy odwiedzali dworcowe lokale gastronomiczne - a było ich kilka. Najpopularniejszy był bufet, w którym królowały standardowe bufetowe z tamtych czasów, czyli rozłożyste blondynki lub szczapowate brunetki z paskami białej koronki wpiętymi we włosy. Bufet przeważnie oferował marnej jakości flaczki, takież bigos, śledzia w oleju, jajko w majonezie, bułki z żółtym serem i napoje. Zmęczeni pasażerowie kupowali te wykwintne potrawy i, porozpinawszy płaszcze, konsumowali je przy przykrytych ceratą stolikach. Robili to powoli, bo dzięki temu mogli posiedzieć w cieple, a bez tzw. „konsumpcji” siedzieć w bufecie nie było wolno.

Goście lepszego sortu mogli skorzystać z kawiarni lub restauracji. Były to lokale full wypas z szatniami i kelnerami, droższe niż na mieście, więc mało kto tam bywał.

Bez konsumpcji można było posiedzieć w świetlicy. Rządziła tam pani świetlicowa, u której można było wypożyczyć książkę, szachy lub warcaby. Ona też czuwała nad tym, by pasażerowie zachowywali się cicho. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś coś wypożyczał, a oczekujący na pociąg przeważnie drzemali lub przeglądali przymocowane do drewnianych listewek gazety. Gazet luzem nie było, bo przecież ktoś mógłby je ukraść i użyć niezgodnie z przeznaczeniem w miejscach oznaczonych kółkiem lub trójkątem.

Oczekiwanie na pociąg można także było sobie umilić w dworcowym kinie, gdzie - chyba co dwie godziny - wyświetlano w kółko ten sam film.

Tylko część pasażerów korzystała z wyżej wymienionych uciech; większość łąziła po holu, siedziała lub drzemała na ławkach.

Poza pasażerami na dworcu przebywali też jego stali bywalcy, czyli pijacy i włóczędzy. Snuli się po zakamarkach i często próbowali wyprosić jakieś drobne na coś do picia. Dzisiaj byłoby to puszkowe piwo z automatu, ale wtedy takich piw nie było. Do restauracji nawet się nie wybierali, sklepu z alkoholem w pobliżu nie było, więc spragnionym pozostawały jedynie pykówki. Ówczesne kioski „Ruch” oferowały kosmetyki w płynie - przeważnie tanie perfumy lub płyny po goleniu. Były one na menelską kieszeń i zawierały alkohol. Niestety, miały też poważną wadę - były w buteleczkach z małymi otworkami. Zawar-

tość wpływała więc powoli i przy akompaniamencie charakterystycznego „pyk, pyk, pyk”. Wypykanie całosci nieco trwało, ale przecież konsumenci mieli czas. Podpici i zionący z ust zapachem wody toaletowej, szukali kolejnych sponsorów lub przesypiali po kątach do rana. Pechowcy wpadali w ręce milicji, która miała na dworcu swój posterunek.

Milicjanci nie tylko wyłapywali meneli, ale też według własnego widzimisię legitymowali zwykłych pasażerów. Zatrzymywani ludzie grzeczniutko pokazywali dowody osobiste i odpowiadali na wszystkie pytania, bo w tamtych czasach z milicją nie warto było zadzierać.

Swoich ofiar szukały też po dworcach patrole WSW (Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli żandarmerii z tamtych czasów). Było to trzech regulaminowo ostrzyżonych, ogolonych i ubranych w świeżo odprasowane mundury dryblasów. Na głowach mieli białe hełmy, białe pały przy białych pasach i kałasze na plecach. W tamtych czasach żołnierze musieli podróżować w mundurach i na dworcach rzucali się w oczy. Owe patrole zatrzymywały ich, kontrolowały dokumenty, sprawdzały trzeźwość i prawidłowość umundurowania - jednym słowem, szukały jeleni do ukarania. Nieszczęśnik przyłapany np. z niezapiętym guzikiem musiał się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Zdarzały się czasem nieporozumienia, w wyniku których podpadniętym się udawało, ale były to tylko wyjątki potwierdzające regułę. Mój kolega służący wówczas w marynarce pojechał na urlop do rodziny na Śląsk. Tam dorwał go patrol WSW i stwierdził, że miał nieregulaminowe buty. Stosowny raport poszedł oczywiście do jego jednostki. Na pierwszym apelu po powrocie z urlopu dowódca wywołał go przed front oddziału i powiedział:

– Mata Wójcika złapało w Gliwicach WSW i napisało mi w raporcie, żebym go ukarał, bo paradował po mieście w półbutach. No to ja tych chujom odpisałem, że półbuty są obuwieciem wyjściowym marynarza. A wam Wójcik, powinienem wlepić pięć dni ścisłego, bo daliście się złapać. Wstyd marynarce przynosicie! Wstąpić!

Jednak większość spotkań z WSW nie kończyła się dla żołnierzy tak dobrze. Dlatego też mieli oni oczy dookoła głów i unikali białych hełmów.

Aż nadchodziła ta cudowna chwila, gdy głośniki oznajmiały, że długo oczekiwany pociąg wjedzie na „tor trzeci przy peronie drugim”. Wtedy ze wszystkich zakątków dworca wylewali się ludzie i biegli na peron, żeby zająć dobre miejsce. Było to ważne, bo tam na odcinku kilkudziesięciu metrów musiały się zmieścić setki osób, a każda z co najmniej jedną walizką. Gdy pociąg hamował, cała ta ludzko-walizkowa masa zaczynała się rwać, przemieszczać i przepychać, bo każdy chciał być jak najbliżej drzwi wagonu, gdy skład się zatrzyma. Na oko wszystkie te wysiłki były bez sensu, bo pociąg przyjeżdżał tak przepelniony, że nikt nie powinien już wsiąść. Nie zwracano jednak na to uwagi, a najaktywniejsi w tej walce o miejsca przy drzwiach byli mężczyźni podróżujący z rodzinami. Oni to bowiem mieli obowiązek jak najszybciej dostać się do środka, a potem wciągnąć tam swoich bliskich. Słowo „wciągnąć” jest tu na miejscu, bo często wciągali oni swoje dzieci, żony, ojców czy teściowe przez okna. Szczególnie godne podziwu były panie różnej tuszy i wieku, które wspinały się do okien wagonów, świecąc bladymi udami i różowymi majtkami, bo w tamtych czasach jeszcze niewiele kobiet nosiło spodnie.

Choć teoretycznie było to niemożliwe, po jakimś czasie wszyscy wsiedli i pociąg ruszał. Szczęśliwcy z przedziałów blokowali ich drzwi od wewnątrz, żeby czasem ktoś się nie wdarł. Nie zawsze zdążyli i w takich przedziałach siedziało po dziesięć osób - ale siedziało. Reszta pasażerów stała stłoczona na korytarzach, w przejściach i w kiblach. Starzy i młodzi, grubi i chudzi, wszyscy pomęczeni i spoceni stali

upakowani jak przysłowiowe śledzie w beczce. Mimo że deptali sobie po butach, że kobietom leciały oczka w pończochach, stali spokojnie, bo tworzyli na kilka godzin swego rodzaju wspólnotę szczęśliwców, którym udało się wsiąść i jednocześnie skazańców, którzy musieli w tych warunkach dokąś dojechać.

Siłą rzeczy pasażerowie rozmawiali ze sobą, bo poza przeprosinami za nadeptanie lub potrącenie wypadało też coś innego powiedzieć. Przeważnie mówiono o niczym, ale czasem można było podслуchać coś ciekawego.

Któregoś dnia dwaj starsi panowie rozmawiali o szalonym postępie nauki i techniki w ostatnich latach. Przysłuchiwał się temu żołnierz z gatunku tych, którzy - w ich mniemaniu - w wojsku zdobyli wielką wiedzę. Nadstawiał uszu i chętnie wtrąciłby jakieś mądre zdanie, ale panowie zupełnie nie zwracali na niego uwagi.

– A jak się telewizja rozwinęła – powiedział jeden z nich. – Ludzie chodzili po księżycu, a my ich widzieliśmy na ekranie. Tyle tysięcy kilometrów, a wszystko było widać jak na dłoni. Aż dziw, że to możliwe z takiej odległości.

W tym momencie żołnierz nie wytrzymał i z miną mędrca powiedział:

– Och! To jest proste. Przecież fala elektromagnetyczna jest nieskończenie długa.

Panowie przytłoczeni mądrością tej wypowiedzi zamilkli, a ja zrozumiałem, że oto poznałem nową - niewymienianą w podręcznikach - cechę fal elektromagnetycznych. Tak to potwierdziło się, że podróże nie tylko męczą, ale i kształcą.

Innym razem dwie studentki rozmawiały o jakichś swoich sprawach na uczelni. Najwyraźniej załatwienie ich wymagało pójścia do dziekanatu, bo często padało słowo „dziekan”. Obok studentek stały dwie pannie z gatunku moher beret, które - udając zupełny brak zainteresowania - wyciągały uszy, żeby podслуchać ich rozmowę. Gdy dziewczyny wysiadły, jedna z podsłuchiwarek powiedziała:

– No popatrz pani. Takie młode, a jakie pobożne. Nawet do księdza dziekana chodzą.

Stabilność tej zbitej ludzkiej masy bywała zakłócana, przez pasażerów chcących wsiąść lub pójść do ubikacji.

Ci pierwsi wyruszali w drogę już na długo przed swoją stacją, żeby w porę dopchać się do najbliższych drzwi. Gdy pociąg stawał, owe drzwi wypuszczały ich na wolność - choć nieraz w zamieć lub szarugę.

Ci drudzy zaś podejmowali się zadania równie trudnego i do tego jeszcze ryzykownego. Szczęśliwcy mający miejsca w przedziałach ryzykowali tym, że po powrocie będą one już zajęte. Wszyscy zaś musieli mieć świadomość tego, że przepychanie się potrwa długo i przy nagłej potrzebie istniało niebezpieczeństwo, że po drodze „się dziwne i niemiłe rzeczy mogą zacząć dziać”. Dlatego wszyscy dzielnie trzymali swoje potrzeby fizjologiczne na wodzy, ale niektórzy jednak musieli zaryzykować i ruszyć w tę trudną drogę. Dotarłszy do celu stwierdzali, że w kiblu było dwóch pasażerów, którzy musieli wyjść, żeby zrobić miejsce jednemu. Powodowało to przed ubikacją „nadciśnienie” jednej osoby i wcale nie było proste do wykonania. Gdy potrzebujący sobie ulżył, natychmiast wracali tam dotychczasowi „właściciele” kibla, nie zważając na pozostawione w nim zapachy.

Wrocław był ostatnią stacją na której wsiadało tak wiele osób, a już gdzieś od Głogowa ludzi zaczynało ubywać. Na korytarzach było więcej miejsca i ubikacje nie były zajęte. Po Zielonej Górze czasami udawało mi się usiąść w przedziale i nawet zdrzemnąć. Był to zajęczy sen, bo nie mogłem przespać stacji, gdzie miałem przesiadkę. Pociąg do którego się przesiadałem czasami bywał tak miły, że trochę poczekałem i wtedy po półgodzinnej jeździe byłem już w domu. Opóźnienie mojego pociągu z reguły jednak było tak duże, że tamten nie czekał, a mnie czekała wtedy noc na poczekalni.

W poczekalni było kilka stolików przykrytych ceratą, parę ławek pod ścianami i bufet. Rządziły tam bufetowe z urody i stroju podobne do wrocławskich, a i menu też było wrocławskie. Zapachy nienajświeższych potraw, piwa, dymu papierosowego i zmęczonych pasażerów tworzyły mieszaninę tak upojną, że usiadłszy gdziekolwiek, od razu zasypiałem.

Na ranem przyjeżdżał następny pociąg, wsiadałem i po niecałej godzinie byłem już w domu.

Planowo moja podróż trwałaby siedem godzin, praktycznie była dwukrotnie dłuższa, ale wszystkie jej trudy wynagradzała mi jajecznicą na kielbasie, którą nieodmiennie witała mnie mama.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 20.10.2022 21:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.